

V. ROZMOWY W REDAKCJI

Z profesorem Stanisławem Grodziskim rozmawia Kazimierz Orzechowski

Profesor Stanisław Grodziski jest jednym z czołowych współczesnych historyków prawa w kraju, badaczem ustroju i kultury prawnej Dawnej Rzeczypospolitej i dziejów Galicji pod austriackim zaborem, znawcą źródeł prawa i niemal jedynym dziś ich edytorem, gdy idzie o uchwałodawczy dorobek polskiego szlacheckiego sejmu, wreszcie – popularyzatorem wiedzy.

Urodził się, w rodzinie ziemiańskiej i prawniczej, 2 stycznia 1929 r. w Prusach niedaleko Krakowa. Szkołę powszechną (podstawową) ukończył rok po wybuchu II wojny światowej. Maturę uzyskał już po wojnie, na kursach wieczorowych. W 1947 r. wstąpił na Wydział Prawa Uniwersytetu Jagiellońskiego. Tam w 1959 r. doktoryzował się na podstawie rozprawy pt. *Ludzie luzni – studium z historii państwa i prawa polskiego* (publ. 1961), w 1963 r. habilitował z pracy o obywatelstwie w szlacheckiej Rzeczypospolitej (publ. 1962). Docentem w swej macierzystej Uczelni został w rok później, w 1972 r. uzyskał tytuł profesora nadzwyczajnego, a w 1979 r. – zwyczajnego. W 2002 r. Uniwersytet Wrocławski uczcił go tytułem doktora *honoris causa*.

Profesor Stanisław Grodziski w latach 1968-1981 kierował Zakładem Historii Państwa i Prawa w Instytucie Historyczno-Prawnym UJ, w latach 1969-1972 Zawodowym Studium Administracyjnym, od 1955 do 1999 r. Katedrą Powszechnej Historii Państwa i Prawa UJ, od 1979 r. do chwili obecnej Pracownią Wydawnictw Źródłowych przy Historyczno-Prawnym Instytucie UJ. W latach 1978-1981 był dziekanem Wydziału Prawa i Administracji UJ, w latach 1987-1990 prorektorem tejeż szacownej Uczelni, wielokrotnie też członkiem wydziałowych i senackich komisji.

Profesor Grodziski jest członkiem zwyczajnym Polskiej Akademii Umiejętności (od czasu jej reaktywowania), a od 1994 do 2000 r. był jej wiceprezesem. Sprawował funkcje członka Zarządu Głównego Polskiego Towarzystwa Historycznego, jest członkiem Instytutu Zachodniego, Komitetu Badań Naukowych, Komitetu Nauk Prawnych oraz Komitetu Nauk Historycznych Polskiej Akademii Nauk, blisko współpracuje z Redakcją *Polskiego słownika biograficznego*. Jest członkiem Komitetu Redakcyjnego „Czasopisma Prawno-Historycznego” oraz licznych międzynarodowych organizacji naukowych, np. Société d’Histoire du Droit, Commission Internationale pour l’Histoire des Assemblées d’États, Europäische Akademie Otzenhausen i in.

Imponujący jest naukowy dorobek Profesora Grodziskiego, żeby wymienić choćby prace syntetyczne: *Historia ustroju społeczno-politycznego Galicji 1772-1848* (1971), *Sejm Krajowy Galicyjski 1861-1914* (1993), *Polska w latach przełomu 1764-1815* (1999 jako t. 6 krakowskiej Wielkiej Historii Polski), *Porównawcza historia ustrojów państwowych* (1998), *Z dziejów staropolskiej kultury prawnej* (2004).

Pełna bibliografia prac Profesora z lat 1953-1993 została ogłoszona w „Czasopiśmie Prawno-Historycznym” (t. XLV), zaś za lata 1993-2000 w: *Ustrój i prawo w przeszłości dalszej i bliższej*, Kraków 2001.

Kazimierz Orzechowski: Szanowny Panie Profesorze! Kochany Stasiu! Chyba wiesz, jak bardzo uradowałem się, gdy Henryk Olszewski poprosił mnie o przeprowadzenie z Tobą kolejnej „Rozmowy w Redakcji”. Znamy się od lat i to tak dobrze, a przecież ciągle jest tyle rzeczy, o których chciałbym z Tobą pomówić.

Zacznijmy zatem. Zawsze było dla mnie zaskoczeniem, jak wiele spraw w ludzkim życiu bierze się ze zwykłych przypadków. Powiedz więc, proszę, jak było u Ciebie?

Stanisław Grodziski: Idzie Ci o rolę przypadku w mojej drodze życiowej. Oczywiście, to przypadek zrządził, że mogłem po wojnie mieszkać w Krakowie i tu podjąć studia. Mój ojciec posiadał pod Krakowem niewielki (nieco ponad 50 hektarów) majątek ziemski. Wysiedlono nas z niego podczas okupacji, gdyż „przydał się” na zaplecze gospodarcze dla koszar Wehrmachtu, usytuowanych w sąsiedztwie. Powróciliśmy do niego z końcem stycznia 1945 r., kiedy Kraków zajęła Armia Czerwona; na krótko jednak, gdyż wysiedlono nas w drodze parcelacji w kwietniu roku 1945.

Obowiązywała wówczas zasada, że parcelowanym „byłym obszarnikom” nie wolno było pozostawać w tym powiecie, gdzie leżał ich majątek; mieli się wynosić gdzieś dalej. Mnie więc – po rychłej śmierci Ojca – nie wolno było pozostać w Krakowie; mogłem się przenieść na Ziemię Zachodnie i tam poszukać jakiegoś źródła utrzymania. Nie było więc niczym innym jak przypadkiem, że sama władza ludowa tego nie dopilnowała ani nikt na mnie nie doniósł. Pozostałem w Krakowie, gdzie było mi łatwiej się utrzymać. Złożyłem maturę, podjąłem pracę zarobkową i wpisałem się na Wydział Prawa Uniwersytetu Jagiellońskiego.

Było to na początku roku akademickiego 1947/48. Obowiązywały już wówczas egzaminy wstępne i przeżyłem chłodne chwile, gdyż obawiałem się, że z moim „pochodzeniem społecznym”, uwidocznionym w ankiecie wpisowej, będę miał kłopoty – nie zostanę dopuszczony do egzaminu. Zdałem go jednak, ktoś przymknął oko na owo źle widziane pochodzenie i rozpocząłem już spokojnie studia.

K.O.: A jak zapisało się w pamięci z lat Twej młodości naukowe środowisko Uniwersytetu Jagiellońskiego, zwłaszcza historycznoprawne, zupełnie przecież niepowtarzalne?

S.G.: Nietrudno było o fascynację nim. Już na pierwszym roku studiów prawniczych (tylko takie wchodziły w grę ze względów tradycyjnych – Ojciec był adwokatem) słuchałem wykładów znakomitych uczonych. Byli to: Adam Krzyżanowski, filozof bardziej i historyk doktryn niż ekonomista; Marian Zygmunt Jedlicki i Michał Patkaniowski, którzy wyszli ze szkoły Stanisława Estreichera i znajomości jego skryptów wymagali przy egzaminie; Jerzy Lande, uczeń i kontynuator Leona Petrażyckiego; wreszcie Adam Vetulani, następca na Katedrze Stanisława Kutrzeby. Fascynacja problematyką z pogranicza filozofii, prawa i historii spowodowała, że przestała mi się podobać adwo-

katura jako przyszła droga życiowa; jednocześnie jednak zdawałem sobie sprawę z tego, że zamiar podjęcia pracy naukowej to niemal utopia.

Tymczasem na drugim roku studiów fascynacja ta pogłębiła się: słucałem bowiem błyskotliwych wykładów Konstantego Grzybowskiiego, uczestniczyłem w ćwiczeniach prowadzonych przez Bogusława Leśnodorskiego (niebawem przeniósł się on do Warszawy) i Włodzimierza Wolfartha. Kontynuowałem studia prawnicze, ale zacząłem też uczęszczać na niektóre wykłady i seminaria na Wydziale Historyczno-Filozoficznym (historia średniowieczna i nowożytna, nauki pomocnicze historii).

K.O.: Ciekaw jestem szczegółów Twojej „uniwersyteckiej drogi”: czy była zwyczajnie prosta czy zawiła?

S.G.: Dopomogła mi sytuacja, jaka wytworzyła się w Uniwersytecie z początkiem lat pięćdziesiątych. Wprowadzono wówczas obowiązkowe (z większości przedmiotów) ćwiczenia i spowodowało to potrzebę poszerzenia obsady personalnej. Przy każdej Katedrze pojawiły się etaty dla asystentów. Złożyłem podanie, które zostało załatwione pozytywnie – opiniował je profesor Adam Vetulani, na którego seminarium regularnie uczęszczałem, załatwiał zaś ówczesny dziekan Wydziału, profesor Konstanty Grzybowski. Oczywiście, już wtedy polityka kadrowa była nadzorowana przez PZPR, ale i tu pomógł mi przypadek. Do pracy w zakresie historii prawa, wymagającej znajomości łaciny, języka francuskiego i niemieckiego oraz pogłębienia wiedzy czysto historycznej, zabrakło kandydatów z lepszym ode mnie „pochodzeniem społecznym” i przynależnością partyjną.

W 1950 r., zatem jeszcze przed ukończeniem studiów (co nastąpiło w roku 1951), otrzymałem stanowisko – było wówczas takie! – zastępcy asystenta.

Znalazłem się jako etatowy pracownik w środowisku ówczesnego Instytutu Historyczno-Prawnego. Moją pracą pokierował odtąd profesor Adam Vetulani, starszymi kolegami stali się: Adam Wiliński, Stanisław Roman, Lesław Pauli, Wojciech Bartel. Odtąd szło już wszystko regularnie: w 1951 r. zostałem asystentem, w 1953 r. – starszym asystentem. Jednocześnie pracowałem jako stażysta w Archiwum. Dalszy awans zahamowała reforma, która w 1951 r. zlikwidowała doktoraty; wzorem radzieckim wprowadzono „kandydaturę nauk”, zmuszając do pogłębionej nauki marksizmu (materializmu dialektycznego i historycznego). Na szczęście, doktoraty przywrócono w 1958 r. Doktoryzowałem się więc pod opieką Adama Vetulaniego w 1959 r., a habilitowałem w 1963 r.

K.O.: A potem były Twoje obie profesury. Nadzwyczajna i zwyczajna. Wiesz, jak bardzo lubię anegdoty. Może byś opowiedział jakąś z tamtych czasów?

S.G.: Dobrze, niech będzie anegdota. Wszyscy pijemy kawę, w mniejszych czy większych ilościach. Ja także. Pewnego dnia, około roku 1970, siedziałem w lokalu Katedry przy maszynie i pisałem jakiś tekst. Wszedł profesor Patkaniowski. Przywitałem się z nim i zasiadłem znowu do maszyny. Profesor spacerował chwilę po pokoju, po czym stanął za mną, położył mi

rękę na ramieniu i powiedział: Panie Stanisławie, dziura w niebie nauki polskiej nie wypadnie, jak pańska praca ujrzy światło dzienne o pół godziny później, a pan pójdzie się napić kawy ze mną!

Miał rację. Nie wypadła.

K.O.: Dzięki Ci za tę sympatyczną anegdotę.

Przeglądając Twoją bibliografię, ktoś mógłby zapytać, kim jesteś: badaczem dziejów czy edytorem źródeł. Nawet bym się takiemu pytaniu nie dziwił, patrząc na Twe wiejskie sądowe księgi, na *Dziejopisa*, zwłaszcza zaś na imponujące *Volumina Constitutionum*. Sam wiem doskonale, jaka to niewdzięczna, żmudna – słowem koszmarna robota. Myślę, że się po prostu zakochałeś w źródłach, nieodwołalnie i beznadziejnie...

S.G.: Wejście moje w dziedzinę źródeł prawa i ich historii to skutek uczestnictwa w seminariach Adama Vetulaniego i Bogusława Leśnodorskiego, a na Wydziale Historyczno-Filozoficznym – Mariana Friedberga (archiwistka) i Zofii Kozłowskiej-Budkowej (paleografia). Tu zdarzył mi się śmieszny przypadek, który miał mnie niebawem kosztować wiele wysiłku. Prof. Budkowa, kiedy zgłosiłem się do niej na seminarium, dała mi do przeczytania fragment tekstu z „Album Paleographicum”, by zorientować się, jak sobie z tym dam radę. Czytając, zorientowałem się, że ja ten tekst znam niemal na pamięć (przerabiałem go na ćwiczeniach z Włodzimierzem Wolfarthem) – był to początek Kroniki Galla: „... Erant namque in civitate Gnesnensi, quae nidus interpretatur..., dux nomine Popel...”. Czytałem więc gładko, a prof. Budkowa powiedziała: Skoro to dla pana łatwe, to wpiszę pana na kurs dla zaawansowanych... Trzeba się było potem bardzo przyłożyć do pracy!

Pamiętam do dziś wrażenie, gdy uświadomiłem sobie, że oto w 1952 r. trzymam w ręku I tom *Volumina Legum*, wydany w 1732 r., i posługuję się nim nadal, gdyż ciągle jest on niezastąpiony. Czyli że w miarę postępu nauki monografii starzeją się szybciej, natomiast wydawnictwa źródłowe zachowują swój walor znacznie dłużej – warto więc zająć się tą dziedziną. Samodzielne przedzieranie się przez tekst źródłowy przynosiło mi coraz większą satysfakcję.

K.O.: Takie były początki tej Twojej pasji. Co dalej?

S.G.: Historia źródeł prawa była tą dziedziną, w której stawiałem pierwsze kroki naukowe, publikowałem od 1953 r. drobne artykuły. Pozostałem jej wierny do dziś, opuściłem jednak średniowiecze, w którym chciał mnie „osadzić” Adam Vetulani i przeszedłem ku czasom nowożytnym. Oparłem się jednak sugestiom Bogusława Leśnodorskiego i Konstantego Grzybowskiego, aby całkiem przenieść się do XIX-XX w. Rychło bowiem zorientowałem się, iż w miarę zbliżania się ku współczesności wzrasta też kontrola polityczna i pogłębiają się naciski metodologiczne. Były to przecież czasy po I Kongresie Nauki Polskiej, powołującym do życia Polską Akademię Nauk, czasy dyskusji metodologicznych nad marksistowską periodyzacją historii państwa i prawa polskiego.

Pod koniec lat pięćdziesiątych moja pozycja w Katedrze była coraz mocniejsza. Profesor scedował na mnie wszystkie obowiązki administracyjno-organizacyjne, prowadziłem też bibliotekę Katedry. Coraz częściej powierzano mi zastępstwo w wykładach kursowych i seminariach. Po moim doktoracie w 1959 r., a przed habilitacją w 1963 r., Profesor podzielił się ze mną wykładem kursowym na I roku – sam prowadził go do daty 1795 r., mnie powierzył kontynuację.

W 1968 r. Adam Vetulani, liczący wówczas 68 lat, czyli będący 2 lata przed emeryturą, uczony w pełni sił i ceniony w skali europejskiej, został pozbawiony kierownictwa Katedry. Był to skutek decyzji ówczesnego rektora, iż tuż przed przejściem w stan spoczynku nie wolno piastować stanowisk kierowniczych. W rzeczywistości szło o to, że Vetulani był źle widziany przez władze partyjne.

W Katedrze Historii Państwa i Prawa Polskiego (a także w sąsiednich Katedrach, Powszechnej Historii Państwa i Prawa oraz Prawa Rzymskiego) nie było nikogo, kto by należał do partii. Kierownikiem Katedry zostałem więc ja, a mój dotychczasowy szef i mistrz został mi podporządkowany jako „profesor przy Katedrze”. Była to wobec niego jedna z represji politycznych na fali wydarzeń 1968 r. Ze swoim mistrzem ułożyłem sobie współpracę bez żadnych zadrążeń. Różniliśmy się bowiem temperamentem, ale nie poglądami. Nadal korzystałem z jego wiedzy i doświadczenia. O więzach, jakie nas łączyły, świadczy dedykacja, jaką napisał mi w sierpniu 1976 roku w swej książce pt. *Poza płomieniami wojny*, a zatem miesiąc przed swą śmiercią: „Memu drogiemu uczniowi, z czasem koledze i w końcu następcy na Katedrze Historii Państwa i Prawa Polskiego UJ, Stanisławowi Grodziskiemu, z życzeniami dalszych sukcesów i serdecznym uściskiem dłoni Adam Vetulani”. Książkę tę przechowuję z szacunkiem.

Jeszcze o wydawnictwach źródłowych. Polska Akademia Nauk, w pierwszych latach swego istnienia dobrze na owe czasy sytuowana, uruchomiła serię wydawniczą pt. „Pomniki Prawa Polskiego”. Planowano w jej ramach dokończenie wielkiej edycji Oswalda Balzera, publikując I i II tom *Corpus Iuris Polonici*. To się nie powiodło. Uruchomiona została natomiast seria wydawnicza źródeł do dziejów miast i wsi, zwłaszcza staropolskich wiejskich ksiąg sądowych. Kierownikiem i redaktorem tej pracy został Adam Vetulani, gromadząc wokół siebie zespół złożony z Ludwika Łysiaka, Wojciecha Bartła, Stanisława Płazy i mnie. Niemal co roku ukazywały się kolejne tomy starannie opracowanych wydawnictw – mówić można wówczas było o wytworzeniu się krakowskiej szkoły edytorskiej. Kiedy w latach siedemdziesiątych ze względów oszczędnościowych PAN zrezygnowała z finansowania serii „Pomniki Prawa Polskiego”, kontynuowaliśmy te prace we własnym zakresie.

Między innymi zgodziłem się podjąć pracę nad reedycją *Volumina Legum*. Poszerzyłem tę koncepcję, starając się gromadzić pełną edycję ustaw sejmku polskiego od 1493 r. Zyskałem dla niej poparcie Sejmu Polskiego, który wziął na siebie koszt druku – resztę jednak trzeba robić własnymi siłami, w skromnym zespole. Wiadomo, iż nie można ani się doktoryzować, ani habilitować

z osiągnięć edytorskich – nie przynoszą też one ani awansów, ani godnych uwagi honorariów; nie można liczyć na dopływ do tej pracy młodych kadr naukowych. Idzie mi więc praca nad edycją *Volumina Constitutionum* nader powoli.

Koncepcja była prosta: miała to być reedycja zasłużonego wydawnictwa Konarskiego i Załuskiego, ale z pominięciem aktów prawnych nie mających charakteru ustawowego, z uzupełnieniem tych, które wydawcy *Volumina Legum* pominieli. Aparat naukowy miał być uproszczony. Dwa razy bowiem w dziejach naszej nauki okazało się, iż niebezpiecznie jest wydawać źródło w sposób naukowo doskonały: kiedy Balzer wydał III tom *Corpus Iuris Polonici*, uczynił to tak doskonale, iż wycofali się ze współpracy ewentualni wydawcy tomów I i II. Po raz drugi planowano to uczynić w latach pięćdziesiątych i też skończyło się na planach. Moja koncepcja była następująca: wydawać (w obrębie systematyki przyjętej przez *Volumina Legum*) materiał normatywny sejmu, z uproszczonym aparatem naukowym, ale z pełnymi indeksami: osób, nazw miejscowych, rzeczy. I ta jednak koncepcja wymagałaby zaangażowania do pracy całego zespołu, przeznaczenia na ten cel odpowiednich środków materialnych. To mi się nie udało; po przedwczesnej śmierci śp. Ireny Dwornickiej pozostałem przy tej pracy sam; może jeszcze zdążę wydać kolejny tom lub dwa.

Dodam jeszcze: ta akcja edytorska nie spotkała się z ciepłym przyjęciem. Koncepcja uproszczenia aparatu naukowego została ostro przez prof. Gąsiorowskiego skrytykowana. Kilka moich propozycji, kierowanych do starszych i młodszych kolegów, aby zechcieli wejść do zespołu, napotkało odmowę lub milczenie. Pozostałem przy tej pracy sam (pomaga mi jeszcze w miarę swego wolnego czasu Waław Uruszczak) i przez to pracuje mi się coraz ciężiej – nie mam już wątpliwości, iż *Volumina Constitutionum* będą kolejną rozpoczętą i niedokończoną serią. Świadomość, że za młodu rozpoczęło się pracę w liczonym zespole, potem, w wieku dojrzałym, prowadziło się ją już w węższym gronie, aby wreszcie pozostać przy niej samotnie, nie jest zbyt budująca.

K.O.: Przedtem mówiłeś o fascynacji źródłami. Myślę jednak, że Twoim właściwym zauroczeniem jest synteza. I co Ty na to powiesz?

S.G.: Pytasz o drogę od prac drobnych ku ujęciom syntetycznym. Jest to poważny problem. W pracy naszej są dwa rodzaje zadań: pierwsze polega na zaorywaniu ugoru lub karczowaniu lasu – brania na warsztat jakiegoś zagadnienia po raz pierwszy. Drugie polega na plewieniu chwastów – polepszaniu tego, co już przez kogoś przed nami zostało uprawione, ale z czasem obrosło błędnymi poglądami lub nie uwzględniło postępu wiedzy. To drugie zadanie staje przed nami dużo częściej i, wbrew pozorom, ma duże znaczenie. Jeśli nawet nie uda się wzbogacić źródeł, na jakich oparty jest jakiś ustalony osąd, to sam postęp metod badawczych pozwala – przyjrząwszy się raz jeszcze danemu zagadnieniu – pogłębić naszą wiedzę. To zaś skłania do rzutu oka na całość jakiegoś procesu dziejowego, prowadzi do syntetycznego opracowania.

Sprawdza się zresztą ów truizm, że każda epoka ma prawo do własnego spojrzenia na swoją przeszłość dziejową.

Próbowałem więc syntez, ale z niepokojem patrzę, iż coraz mniej zostało mi czasu i siły do opracowania syntezy dziejów i prawa Galicji, czyli zaboru austriackiego od 1772 do 1918 r. Ode mnie pochodzi opracowanie okresu od 1772 do 1848 r., od Konstantego Grzybowskiego – okresu od 1848 do 1914 r. Obydwie części wymagają powtórnego przepracowania i powiązania, gdyż oparte były na różniących się od siebie założeniach. Po śmierci Konstantego Grzybowskiego w 1970 r. przypadło mi uzupełnienie i zredagowanie do druku jego *Galicji* w IV tomie *Historii państwa i prawa Polski* (Warszawa 1982); wtedy też postanowiłem, iż część tę napiszę od nowa – czas jednak biegnie i zobowiązanie to coraz trudniej mi będzie wykonać.

Do tego dochodzi jeszcze zacofanie. Pracuję starymi metodami, w niewielkim stopniu posługując się komputerem, i to raczej jako maszyną do pisania niż narzędziem do codziennej pracy. Niełatwo, jak się już przekroczyło siedemdziesiątkę, naginać się do nowych, choćby bardzo uproszczonych metod pracy. Zatem: notatki w postaci „fiszek”, pierwsza redakcja pracy pisana ołówkiem, iżby można było błędne sformułowania wymazywać, dopiero druga redakcja pisana jest na maszynie.

K.O.: Patrząc z jednej strony na *Porównawczą historię ustrojów państwowych*, z drugiej na dzieje staropolskiej kultury prawnej – i powiadam, że Ty przecież syntezy już napisałeś, i to w znacznie szerszym zasięgu. Tylko sam nie chcesz tego przed sobą przyznać. Czy zechcesz się ze mną zgodzić?

S.G.: Gdybym był młodszy o dziesięć lat – odpowiedziałbym: to zaledwie uwertura do syntezy. Ale teraz...

K.O.: Pomówmy jeszcze o dydaktyce.

S.G.: Prowadzę ją od 1951 r. Pierwszym moim obowiązkiem były ćwiczenia z kilkoma grupami studenckimi. Prowadziło się je na tekstach źródłowych, od „Dagome Iudex” do Konstytucji 3 maja: czytanie tekstu, jego analiza, wyciąganie ogólniejszych wniosków. Do tego dochodziły repetytoria, czyli po prostu zadawanie partii tekstu podręcznika i jego jałowe odpytywanie – do tego władze uczelniane w owych latach (tj. pięćdziesiątych) przywiązywały dużą wagę. Pierwszego czy drugiego roku zajęcia moje wizytowali od czasu do czasu prof. Vetulani, w towarzystwie Romana i Wolfartha; uznali jednak, iż dają sobie radę i wizytacje ustały.

Nie ustała jednak dyskretna kontrola partyjna. Jej dowodem było wezwanie do Komitetu Uczelnianego PZPR, iżbym przyjął naganę za to, że jednego roku ćwiczenia poświęcone Konstytucji 3 maja odbyłem właśnie 3 maja – uznano to za demonstrację.

Z czasem, jak wspominałem, prof. Vetulani począł mnie powoływać do zastępstw, zarówno na wykładzie kursowym I roku, jak i w seminariach, co już było rzeczą trudniejszą. Kiedy pojawiły się przy Wydziale Prawa studia

zaoczne, profesor zgłosił *désintéressement* tą formą nauczania, przekazując ją w całości Bartłowi, Łysiakowi i mnie. Rozpocząłem więc wykłady kursowe, najpierw dla studentów zaocznych, potem i dla stacjonarnych. Od 1962/63 r. wykładałem już regularnie, przejąłem też większość egzaminów.

Byłem wówczas i jestem do dziś zwolennikiem wykładu kursowego jako bezpośredniego przekazu wiedzy słuchaczom – trzeba było dbać nie tylko o treść, ale i o formę. Nie zastąpi go żaden podręcznik (chyba że profesor czyta na wykładzie tenże podręcznik). Jestem też zwolennikiem egzaminu ustnego, i to nie testowego, ale w postaci rozmowy ze studentem. Dlaczego zarzucone zostały kolokwia, prowadzone zgodnie z łacińskim znaczeniem terminu? Z żalem widzę, iż te wypróbowane formy dydaktyczne ustępują miejsca egzaminom pisemnym lub – co gorsza – testowym, a kontakt studenta z profesorem staje się coraz rzadszy. Te nieliczne zajęcia, które jeszcze prowadzę, będąc już na emeryturze, odbywam starym systemem, kończąc je egzaminem ustnym.

K.O.: Bardzo Cię wymęczyłem, ale to jeszcze nie koniec. Chcę Cię jeszcze zapytać, jak doszło do książki o wędrówkach po Galicji dyliżansem, koleją, samochodem. Jak Ty to robisz, żeby tak nierozdzielnie połączyć krajoznawstwo, dawny ustrój, dawne rzeczy, dawnych ludzi – po to tylko, by wpisać je w dzisiejszą rzeczywistość? Uprzedzę to, co powiesz: wtenczas (1998) i dzisiaj niezmiennie jestem tą książką zachwycony.

S.G.: Krajoznawstwo, traktowane jako przyjemny odpoczynek, choć nieco pogłębione, to krok w kierunku historii regionalnej, skromnej, ale przecież interesującej. Już od lat studenckich uprawiałem wędrówki po kraju, samotnie, potem we dwójkę z moją żoną, wreszcie (niestety) znowu samotnie. Uważam to za najlepszy sposób spędzania wolnego czasu. Były to wędrówki piesze – na miarę moich skromniejszych możliwości fizycznych uprawiam je jeszcze i dziś – także rowerowe, motorowe, wreszcie samochodowe. Prócz samej satysfakcji wędrowania, stwarzało to okazję do studiowania lokalnych dziejów, zapoznawania się z miejscowymi muzeami czy skromnymi izbami pamięci, wreszcie i cmentarzami, co pozwala dokonać rzutu oka na minione pokolenie miejscowej społeczności.

Nota bene: wprowadzie nie za jednym zachodem, ale na kilka rat przeszedłem Sudety i cały łuk Karpat aż po Bieszczady. Rzadko spotykałem na szlakach moich studentów – częściej już kolegów, więc przedstawiciele starszego pokolenia. Często był to prof. Marek Sobolewski; to on, znając moje zainteresowania, skłonił mnie do wejścia w skład komitetu redakcyjnego „Wierchów”, w którym pozostaję do dzisiaj.

Drobnym owocem tych wędrówek i towarzyszących im studiów są niektóre publikacje. W 1984 r. wydałem drukiem dziełko pt. *Feliksa Boronia pielgrzymka do historii* – dzieje prostego, ubogiego chłopca spod Krakowa, który w połowie XIX w. pielgrzymował do Rzymu, a potem i do Ziemi Świętej, aby powróciwszy do kraju, utonąć w Wiśle.

Szerszy charakter ma wspomniana przez Ciebie publikacja *Wzdłuż Wisły, Dniestru i Zbrucza* (Kraków 1998) – wędrówka po Galicji, jaką była ona w roku 1800, w 1900 oraz obecnie, na przełomie XX i XXI w.

Prace tego rodzaju, pisane możliwie przystępnie, ale bez zbędnego obniżania poziomu, sprawiają mi satysfakcję; chciałbym bowiem umieć docierać ze swymi ustaleniami do szerszego kręgu czytelniczego.

Dixi et salvavi animam meam.

K.O.: Zbawiłeś, Stasiu, również i moją duszę. Dziękuję Ci za tę rozmowę.

